

Stać się niepotrzebnym

Dzieci od linijki, ze świetnymi świadectwami, ale pozbawione życia, radości entuzjazmu – to jest naprawdę przykry widok. Jednocześnie, to pokolenie coraz więcej myślące i mówiące o wartościach, pokolenie rzekomo rozmemłanych, naćpanych młodych ludzi, będących w rzeczywistości coraz bardziej zaniepokojonymi bałaganem, który robimy my, dorośli.

Z Jarosławem Szulskim, nauczycielem i wychowawcą, o tym, że mimo wielkiej bliskości, trzeba stać się niepotrzebnym.

Kogo jest więcej na spotkaniach z rodzicami: kobiet czy mężczyzn?

Pół na pół. Ale jak na warunki szkolne, zastanawiająco dużo mężczyzn. Coraz więcej ojców pragnie naprawdę towarzyszyć swoim dzieciom w dorastaniu. Jest lepiej niż kiedyś. Na wyjazdy klasowe często zapraszam rodziców moich uczniów - dwie, czasem trzy osoby. I to zwykle są ojcowie.

Sami się zgłaszają?

Tak.

A gdybyś miał wskazać różnicę między grupami?

Mamy być może częściej bywają nadmiarowe, czyli nadopiekuńcze, nadmiernie przejęte drobiazgami, przeceniające „zagrożenia”. Zbyt często wyręczają córki i synów, chcą załatwić za nie nawet najmniejszą pierdołę. A dzieci, z roku na rok stają się coraz mniej odporne na dyskomfort codzienności.

Poproszę o przykład.

Przychodzi mama z gimnazjalistą do biblioteki, chłopak chce założyć kartę i wypożyczyć książkę. Bibliotekarka pyta: „Co lubisz czytać?”. Zanim jemu przeskoczą neurony w głowie, zanim otworzy usta, mama już reaguje: „Tomek lubi to i to”. Typowe. Albo stawiam komuś jedynekę z klasówki i dzień później odwiedza mnie mama. Twierdzi, że dziecko bardzo cierpi, płacze z powodu tej oceny. Bez sensu, bo czternastoletni człowiek musi się nauczyć, że szkoła to w pewnym sensie jego problem (mówię tu o życzliwej szkole i życzliwych nauczycielach), i że jest w stanie sam go rozwiązać. Czyli „to ja muszę iść do profesora Szulskiego, to ja muszę powiedzieć: zawaliłem, nie chciało mi się uczyć, chciałbym poprawić”. Dzieci są bardzo posłuszne, zrobią to, co dorośli każą im zrobić. Tyle że ja bardziej od posłuszeństwa cenię odpowiedzialność. Ojcowie mają tu pewną przewagę nad mamami.

Łatwość w rezygnacji z posłuszeństwa?

Łatwiej przychodzi im rezygnacja z kontroli i wyręczania na rzecz samodzielności dziecka. Jako nauczyciel jestem w specyficznej sytuacji, bo rodzice moich uczniów to w przewadze klasa średnia. Oni zarządzają, często pełnią funkcje managerskie, i w pracy i w domu, czasem też w szkole. Są profesjonalistami. I często tego samego wymagają od dzieci.

Profesjonalizmu?

Dzieci organizują wycieczkę i rodzice oczekują, że to będzie zamknięty projekt: nocleg, jedzenie, kosztorys, czas podróży. A mi zależy na czymś odwrotnym – chcę pokazać, że życie to nie tabelka w Excelu (choć i ten się w

końcu przydaje, rzecz tylko w tym aby dojść do tego samego). Jeśli czternastolatek jest kierownikiem wycieczki, to kierowca autobusu powinien jego pytać, gdzie dzisiaj pojedziemy. Nie rodziców, nie mnie. Dzieci powinny mieć obszar, gdzie czują się gospodarzami. Jeśli nie załatwią noclegu, to nie będzie noclegu. Będziemy spać w rowie albo w autobusie. I w porządku, staram się iść za ciosem. Doświadczamy wtedy zimna, niewygody, brudu, ale też wzajemnego wsparcia.

Czy to się zdarzało? Spanie w rowie, w autobusie? Rodzice byli z wami?

Zdarzało się. Na dworcach, w jednym małym pokoju w trzydzieści osób, w barze rybnym. Byli z nami rodzice.

Nie chcieli przejąć inicjatywy?

Zwykle chcą, czasem trzeba ich powstrzymać. Potem wchodzi w tryb „już mi wszystko jedno”, zaczynamy się taką sytuacją bawić. Tak jakby w każdym z nas, dorosłych, budziło się pragnienie zrobienia czegoś głupiego. Podczas wakacji, kiedy schodziliśmy kilkunastoosobową grupą ze Śnieżnika, była z nami dwójka rodziców – mama i tata. Z końcem dnia wiedzieliśmy, że nie dotrzemy już tam, gdzie planowaliśmy. Rodzice przy każdym mijanym ośrodku chcieli pytać, czy są miejsca i czy nas przenocują. Dzieci zdecydowały, że to niepotrzebne. „Jest dworzec, położymy się na peronach”. Byliśmy strasznie brudni, więc następnego dnia o poranku, pierwszym pociągiem pojechaliśmy do miasteczka, gdzie był basen - tam się umyliśmy. Mama, która była wtedy nami - warszawska lekarka, pani ordynator - położyła się wtedy w śpiworze na ławce, na peronie i dostała totalnej głupawki. A rano pani dyspozytorka z PKP zaparzyła nam gorącą herbatę. Świetnie było.

Co dokładnie było świetne?

Była przygoda, była radość, a to dla mnie ważne. To trochę fabryka przyszłych wspomnień. Pomyśl, czy można ukończyć szkołę nie patrząc nigdy w gwiazdy, nie rozmawiając o marzeniach, o życiu, śmierci, miłości, nie przechodząc kryzysu podczas wyprawy w góry? A tak głębiej: oczywiście, można było pójść, wynająć kwatery i wyręczyć dzieci. Ale jedno to wyręczać, albo inaczej, po prostu pokazać „jak”, drugie – zrobić coś razem, i to jest wyższy level. Jest jeszcze trzeci etap: kiedy stajemy się niepotrzebni. Tak naprawdę to jest właśnie moja rola - stać się jak najszybciej niepotrzebnym. Niepotrzebnym, mimo bardzo bliskich relacji.

Stać się niepotrzebnym, czyli stworzyć miejsce dla ich własnej autonomii.

Użył się bardzo ważnego słowa: autonomia. Myślę, że autonomia jest celem istnienia szkoły. Potrzebujemy wolności intelektualnej, potrzebujemy odpowiedzialności. Rodzicom trzeba czasem pokazać, że ich dzieci to już nie takie dzieci.

Autonomia to wolność. Nie każdy umie sobie poradzić z wolnością.

A rewersem wolności jest właśnie wspomniana odpowiedzialność. Obserwujemy to w szkole. Realizujemy każdego roku projekty edukacyjne, gdzie uczniowie są z założenia gospodarzami. Mówimy im: macie okazję zrobić coś swojego - coś, co was naprawdę interesuje. I jest problem, bo oni nie wiedzą co z tą wolnością począć. Najpierw pół roku narzekania, bo w szkole wszystko jest nudne, a kiedy mogą zdecydować sami, jest kłopot. Na początku to zawsze jeden kierunek: musimy zrobić coś, czego oczekują od nas dorośli. Mija chwila nim zrozumieją, że to jest ich, dla nich, że mają w zasadzie nieskrępowany wybór.

Możesz rozwinąć? Opisać taki projekt?

Najbardziej zapadła mi w pamięć grupa sześciu chłopaków – sześcioro ksiąząt. Nigdy w życiu nie musieli nic robić, tylko się uczyć. Bardzo fajne chłopaki, nawet teraz myślę o nich z wielką sympatią. Wymyślili sobie, że zrobią projekt o butach.

O butach?

O bardzo ekskluzywnych i drogich. Znaleźli dwie manufaktury brytyjskie, wysłali tam maile. Przełom nastąpił, kiedy dostali odpowiedź, bo napisał do nich właściciel marki John Lobb. Zaprosił ich do zakładu, gdzie powstają buty dla rodziny królewskiej, dla aktorów... Buty od tysiąca funtów w górę. A zakład mieści się 200 metrów od pałacu Buckingham. Chodzili po szkole jak pawie.

Pojechali, udało się?

Sami zorganizowali ten wyjazd: rezerwowali bilety, załatwili nocleg. Ustalili, że będzie wspólny budżet i że codziennie zmieni się kierownik wycieczki. Czyli codziennie ktoś inny opracuje plan dnia, zorganizuje przejazdy, obiad. Było zabawnie, bo finalnie trafiliśmy na koniec świata, do jednej z mniej popularnych wśród turystów dzielnic Londynu.

Nie chciałeś w to ingerować? Niebezpieczna dzielnica to niebezpieczna dzielnica.

Prawdę mówiąc, o tym że ponoć była niebezpieczna, dowiedzieliśmy się dopiero na miejscu. Na początku doradzałem, pouczałem, przecież jestem nauczycielem. Wymienialiśmy wiadomości. I w pewnym momencie gnojki mi piszą: „Dziękujemy panie profesorze za sugestie, ale już podjęliśmy decyzję”. To był Maciek, szef projektu, z którym do dzisiaj się przyjaźnię. Dopiero na tym etapie do rodziców dotarło, że to dzieje się naprawdę. A do mnie, że właśnie zaczęliśmy realizować projekt.

Oho...

Jedna mama napisała: „Nie bardzo nam się podoba pomysł, żeby dzieci miały wspólny budżet. Wolałabym, żeby syn miał własne pieniądze i mógł nimi gospodarować”. Przesłałem to Maćkowi do dyskusji, a po paru minutach wszyscy rodzice dostali wiadomość: „Dziękujemy pani za ciekawy pomysł, ale zostaniemy przy wcześniejszych ustaleniach”. Śmiałem się strasznie i w pewnym sensie już wtedy byłem dumny z uczniów. Chociaż później wcale nie było łatwo, codzienne doświadczanie, że to my jesteśmy „gospodarzami” projektu i że nie ma obok mamy. Okazało się, że w Londynie nocujemy u starszej pani i oni sami muszą zrobić sobie kolację, co było zabawne samo w sobie. Udźwignęli, ale w kuchni syf. Po kolacji wszystko zostawione, bo wiadomo - mama pozmywa. Mamy nie było, więc rano zaskoczenie, syf nie zniknął.

Czy ty wychowujesz rodziców?

W jakimś sensie wszyscy się wychowujemy. Ja też jestem wychowywany: i przez dzieci, i przez rodziców. Trudno powiedzieć, że wychowuje rodziców albo że z nimi rywalizuję. Ja tylko bywam w życiu dzieci, a rodzice są. Staram się towarzyszyć rodzicom w tym okresie, kiedy dziecko zyskuje swoją niezależność. Dla rodziców to cholernie trudne, bo przestają być najważniejsi.

Co robisz?

Staram się, żeby wiedzieli o sobie jak najwięcej. Rodzice znają dzieci z innej strony niż ja. Czasem głównie z tego, że nie chcą wyrzucać śmieci i trzaskają drzwiami. Więc to ważne, żeby rodzice – na przykład na wyjeździe - mogli zobaczyć, jak dzieci dbają o siebie nawzajem albo jak rozmawiają o północy z wypiekami na twarzy na temat

tekstów Platona czy Kołakowskiego. Bywam też pośrednikiem dobrych wiadomości, bo dzieci mówią dużo dobrego o rodzicach, ale rzadko rodzicom.

Jeszcze przy autonomii: najlepiej wspominam nauczycieli, którzy mieli własną. Takich, którzy mieli własny pomysł na szkołę.

Który z uczniów chciałby wieść marne życie konformistycznego nauczyciela? Wszystkiego się bać, robić tylko to, co każą? Praca z młodzieżą jest dlatego piękna, że w tych dzieciach tkwi radość i ideały, entuzjazm do robienia różnych rzeczy. Nawet bunt. Prowadziłem z uczniami wykład dla nauczycieli pt. „Co jest marne w życiu i działaniu dorosłych i dlaczego nie chcemy żyć tak jak oni?”. Ten wykład stał się jednym wielkim wołaniem o to, żeby dorośli zeszli z piedestału i spuścili powietrze. Żeby zauważyli, że mają wokół siebie młodych ludzi, którzy potrzebują pogadać. Czasem potrzebują wsparcia i dobrego słowa, a czasem dostrzeżenia, że zmienili fryzurę, że są smutni.

Z perspektywy nauczyciela i partnera w wychowaniu: najtrudniejszy rodzic? Najgorszy?

Rodzic – klient. Taki, który przychodzi i mówi „płacę więc wymagam”. Ja nie jestem usługodawcą, mam w dupie bycie usługodawcą. Każdy normalny nauczyciel wie, że musi przygotować dziecko do egzaminów. Wie, po co jest w szkole. Nie trzeba mu tego uświadamiać. Kiedy słyszę „proszę robić tak i tak, ja panu płacę ze swoich podatków”, to odpowiadam: „proszę mi więcej nie płacić”, a w duchu myślę „spierdalaj!” Jestem nauczycielem, bo chcę to robić. I jeszcze rodzice, którzy przychodzą z pismem: „Bez mojej zgody proszę nie poruszać w obecności córki albo syna następujących tematów: tolerancja, nałogi, orientacja seksualna, religia, aborcja... Jeśli nauczyciel chce poruszyć któryś z wymienionych tematów, proszę o przedstawienie konspektu lekcji do zatwierdzenia”. Moja koleżanka miała takiego tatę w klasie.

To rodzice, którzy – domyślam się, że z troski - chcą utrzymać nad dzieckiem światopoglądowy parasol.

I którym wydaje się że ich wspaniałe dziecko, wyprowadzające psa i odwiedzające babcię w niedzielę, cały czas jest takie „najs”. Czasem żartuję, że idealny uczeń nie pije, nie pali, nie przeklina, nie spóźnia się oraz nie istnieje. Dziecko nie żyje w próżni, tylko w społeczeństwie. Korzysta z Internetu, ogląda nagie dziewczyny, ma rówieśników, wie co robią o kilka lat starsi licealiści. Lepsza droga to mieć takie relacje z dziećmi, żeby chciały o ważnych sprawach z nami rozmawiać. I czuły się wolne w wyrażaniu własnego zdania. Bo dlaczego dziecko ma nie mieć innego zdania niż dorośli?

Największym grzechem moich rodziców była walka o średnią. Nauczyciele próbowali im tłumaczyć, że to nie ma większego sensu. Bez efektu. Zamiast wzmacniać mocne strony, ślęczałem nad fizyką i chemią.

Z których nigdy nie będziesz dobry. Powszechne. Skrajna presja na średnią nie ma sensu. Mi również jest to bardzo trudno wytłumaczyć moim uczniom.

Rodzicami kieruje troska o przyszłość dzieci.

Tak, ale w efekcie dorasta nam nieprzystosowana kasta książęca. Dzieci, żeby mieć jak najlepsze warunki do nauki, są we wszystkim wyręczane. Nie mają żadnych obowiązków - świat kręci się wokół nich. I nagle odkrywamy, że chłopakowi zaczynają rosnąć wąsy, ale nie potrafi sobie zrobić kanapki. I nie widzi w tym problemu.

To jest wielka presja: z każdego przedmiotu mieć piątki.

I niczym się tak naprawdę nie interesować. W szkole mamy wrażenie, że finalnie wszystko jest na 50%. Prace domowe, zajęcia dodatkowe – wszystkiego dużo. Żeby przetrwać, dzieci wchodzą w tryb: naucz się, zapomnij, naucz się. Bardzo powierzchownie. Ostatnio zacząłem eksperymentować. Zaproponowałem uczniom, żeby wybrali sobie trzy kluczowe dziedziny: dwie szkolne i jedną pozaszkolną. Niech to będzie matematyka, biologia i latawce. I dzieci chcą, pomysł super, ale wracają do mnie z pytaniem: kiedy mamy znaleźć czas na latawce i na te dodatkowe wykłady na uniwersytecie? Nawet jeśli zaczynają zajęcia o 10 rano, to część klasy o 8:30 ma korepetycje. Nie mają wolnych sobót, bo zajęcia dodatkowe. Nie mają kiedy się spotkać. I rozumiem, że jest w tym troska rodziców o jak najlepsze wykorzystanie dzieciństwa. Tyle że jedną z najlepszych inwestycji i polis ubezpieczeniowych na dorosłe życie są Przyjaciele. Dobre dzieciństwo nie musi, a może wręcz nie powinno polegać na tym, że rodzice wypełnią tydzień i już nie wciśniesz paznokcia. Wspaniałe dzieciństwo może polegać na tym, że dzieci nudzą się ze sobą i mogą się ze sobą tak ot, kotłować.

Kotłować? Co to znaczy?

Pobyć ze sobą bez planu narzuconego z góry przez dorosłych.

Większość moich wakacji wyglądała właśnie tak: z dwójką kolegów włóczyliśmy się po wsi. I robiliśmy głupoty.

Dzisiaj pojechałbyś na trzy obozy: dwa językowe i trzeci - z nauką szybkiego czytania. Każda minuta wypełniona zajęciami. Dzieci od linijki, ze świetnymi świadectwami, ale pozbawione życia – to jest strasznie przykry widok.

A częsty?

Niestety tak. Ale nie chcę narzekać, bo te dzieciaki są w istocie dużo lepsze niż się nam dorosłym wydaje. Właśnie to mnie chyba jeszcze trzyma w tym zawodzie. Z moimi obecnymi uczniami postanowiliśmy niedawno, że warto abyśmy jeszcze przed feriami zimowymi spędzili ze sobą trochę czasu. Zaproponowałem im wycieczkę do muzeum, którego w rzeczywistości nie ma: włókiennictwo, rękodzieło, nudy. Wszyscy się grzecznie stawili. Pojechaliśmy na Okęcie. Oni zaskoczeni, bo nie wiedzieli, jaki będzie ciąg dalszy. Polecieliśmy do Gdańska, robiliśmy rzeczy, które pozornie nie miały sensu. Ale w końcu obudziła się w nich radość, pojawił błysk w oku, jakiś element spontaniczności: „Jesteśmy nad morzem, byliśmy w nocy na plaży, na moło!”. Nad ranem zauważyli, że nie musieli spać, rozmawiali ze sobą. Po śniadaniu wróciliśmy samolotem do szkoły. O 13 byliśmy na miejscu. Bilety kosztowało 20 zł, nocleg mieliśmy za darmo. A w dzieciach uruchomił się entuzjazm i radość, których mi tak bardzo brakuje.

Mamy tu inny zysk niż entuzjazm? Większy cel?

Przede wszystkim przestrzeń. Przestrzeń, w której oni mogą ze sobą przebywać. Wszystkie moje wspomnienia ze szkoły dotyczą czasu spędzanego z rówieśnikami. Zaskoczone dzieciaki muszą sobie pomagać, a wychodzę z założenia, że troska o innych jest w istocie troską o samego siebie. Jakiś czas temu poznałem dyrektora szkoły cyrkowej. Pytam: „Przygotujecie mi program dla klasy „inwalidów”?”. Zgodził się. Wielka hala, zimno, drzazgi wchodzą w tyłek, połowa dzieciaków ma zwolnienia z wf-u. Nie mogliśmy ich stamtąd wygonić. Ćwiczyli, pomagali sobie, budowali piramidy. I to była wielka frajda patrzeć, jak troszczyli się o siebie w tej i podobnych sytuacjach. Dodatkowo: to uruchamia w nich czułość na poziomie kontaktu fizycznego. To bardzo ważny element naszej pracy.

Jesteś znany między innymi z tego, że dzieciaki wieszają się na tobie - że nie ma dystansu.

Wieszają się na mnie. Jak idę przez klasę, to zdarza się, że ktoś złapie mnie za rękę i przez chwilę trzyma. Nie uciekam, jeśli tego potrzebują. Później to się przekłada na ich wzajemne relacje. Potrafią ze sobą porozmawiać, a później się przytulić. Mamy swoje dziwaczne rytuały, na przykład rozmawiając deptamy sobie czasem po stopach. Kiedy dorastają – ta czułość w nich zostaje. I może to jest moja wartość dodana do ich przyszłego rodzicielstwa. Że kiedy będą mieć w domu swojego nastolatka, nie będą się bali go przytulić.

Rodzice mają problem z czułością?

Jest oczywiście różnie, ale ogólnie rzecz biorąc chyba tak, zwłaszcza ojcowie. Nie ma z nimi kontaktu fizycznego, a jeśli jest, to tylko do pewnego etapu. Z perspektywy dziecka to musi być dziwne, bo tata przytula, przybija piątkę, a w pewnym momencie przestaje i nie bardzo wiadomo dlaczego.

Domyślam się, że większość nauczycieli boi się tak krótkiego dystansu.

To prawda. Ale my, ludzie, jesteśmy stadnymi stworzeniami, potrzebujemy niepodszytej seksualnie bliskości. Nastolatki też jej potrzebują, jedni mniej, inni bardziej. Mój znajomy, dyrektor szkoły w Sztokholmie, mówi swoim nauczycielom, że to jest praca fizyczna. W USA taki kontakt jest wręcz wskazany - ważne, żeby przy otwartych drzwiach. I tyle.

Ekstremalne wycieczki, dużo kontaktu, relacje z rówieśnikami. Mało mówisz o samej edukacji.

Bo o nią nie pytasz. Powiem tak: nie ma edukacji bez relacji. Po prostu trudno dokonywać intelektualnych wyczynów, kiedy nie ma się przyjaciół. Ile może wytrzymać grzeczne, samotne dziecko, które nie ma więzi z rówieśnikami, bo jest ciągle z mamą?

Z mamą, która powtarza: jesteś najwspanialszy.

Właśnie. Dla mamy już zawsze będziemy najwspanialszi, najpiękniejsi i najmądrzejsi. Ja też jestem. A umówmy się – nie jesteśmy. Ani najmądrzejsi, ani najpiękniejsi. Większość z nas wygląda jak hipopotamy. Dzieci potrzebują przestrzeni, w której zobaczą, jakie naprawdę są. Bardzo trudno funkcjonować w społeczeństwie, gdzie wszyscy uważają się za wyjątkowo zajebistych. Szkoła może to urealnić. Dom jest pewnym etapem, później – bezpieczną przystanią, do której można wracać. Ale trzeba z tej przystani wypłynąć: karmić się światem i świat karmić sobą.

Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, wspomniałeś, że chciałbyś zostać ojcem; że czujesz się już gotów.

Tak.

Syn, córka?

Najchętniej i syn, i córka. Jest we mnie i strach i ciekawość. Intuicyjnie zakładam, że łatwiej być nauczycielem, choć mamy takie ludowe przekleństwo...

...obyś cudze dzieci uczył.

Nauczyciel ma łatwiej. Dzieci przychodzą, odchodzą, mogą ze szkoły wyjść. W domu jest inaczej.

Jak objawia się twoja gotowość do bycia ojcem?

Ciekawością i tęsknotą. Patrząc na niektórych uczniów i wyobrażam sobie, że to mogłyby być moje dzieci. To zresztą powoduje, że co jakiś czas mam ochotę wyłączyć się z działalności szkolnej. Przychodzi taka refleksja: może już dość angażowania się w życie innych, czas, żeby zaangażować się we własne.

Jesteś jednym z pierwszych mężczyzn, od którego słyszę: czuję się gotowy na zostanie ojcem.

Być może przecwiczyła mnie już młodzież w szkole. Dostałem sporo lekcji, których przeciętny ojciec nie ma możliwości otrzymać i musi uczyć się w biegu. Z drugiej strony wychowanie to wielka niewiadoma. Kiedy wydaje ci się, że już coś wiesz, pojawia się sytuacja, gdzie trzeba rozłożyć ręce i przyznać: „kurwa, jednak nie wiem”. I próbować inaczej. Więc może gotowość to jest też zgoda na „nie wiem”? Nie boję się błędów, bo mam poczucie, że miłość, czułość, obecność, może wiele naprawić. Zresztą, to jest chyba najgorsze, co się może człowiekowi w życiu przytrafić – perfekcyjny ojciec.

Jeśli nie perfekcyjny, to jaki?

Zbyszek Hołdys mi kiedyś powiedział, że wszyscy sensowni ludzie na pewnym etapie doświadczyli czegoś niekomfortowego, spójrz, większość artystów ma porąbane życiorysy. I jest w tym sens. Co ciekawego może zaoferować światu człowiek, który wychował się w idealnej rodzinie? Takiej, gdzie wszyscy byli poukładani, nie mieli problemów finansowych, niczego nie brakowało, kochali się albo udawali, że się kochają? To jest w sumie dobra wiadomość dla rodziców: wszystkie podręczniki z cyklu „Idealne dziecko tydzień po tygodniu” możecie potraktować z dystansem. Wystarczy, że będziecie autentyczni i wystarczająco dobrzy, niekoniecznie perfekcyjni.

A na poziomie konkretów? Czy ty masz pomysł na swoje ojcostwo?

Nie jestem człowiekiem, który potrafi nieustannie wisieć na dziecku. W szkole nie przeznaczam dzieciom szczególnie dużo czasu. Ale jeśli już rozmawiamy, to niech rozmowa będzie dla obu stron ważna. Głęboka i prawdziwa. Jeśli zestawić ojca, który buduje w ogródku namiot i śpi w nim u boku dziecka, i ojca, który wysłał dzieci na kurs tenisowy na Florydę, to ja wolałbym być tym pierwszym. I jeszcze tak sobie myślę, że dzisiaj rodzice często chcą być heroiczni, poświęcają się...

To źle?

Źle, jeśli dziecko staje się całym światem. Tak się dzieje, kiedy dorosły nie ma uporządkowanego własnego życia. Wtedy wszystko robi dla dziecka: dla dziecka pracuje, dla dziecka je śniadanie, dla dziecka odpoczywa, jeśli w ogóle odpoczywa, nie spotka się ze znajomymi bo dziecko i tak dalej. To jest smutne, bo ci rodzice pierwsi usłyszą od swoich potomków: zmarnowałeś mi życie! I wtedy jest wielka tragedia. Największe narzędzie wychowawcze to bycie mądrym dorosłym. Trzeba żyć i pozwolić dzieciom obserwować, jak żyjemy. Jeśli dzieci widza dorosłych, którzy mają ze sobą fajne relacje, fajnie się do siebie odnoszą, lubią się, są autentyczni, to dzieje się magia.

Jarosław Szulski – nauczyciel i wychowawca w Gimnazjum im. Tadeusza Reytana w Warszawie, przedsiębiorca i menadżer. Autor powieści „Sor” i „Zdarza się”. Współpracownik Jacka Santorskiego, z którym napisał książkę „Siła spokoju, którego nie ma”.